

Henryk Markiewicz

Staroświeckie glosy

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (48), 45-49

1997

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Henryk Markiewicz

Staroświeckie glosy

1. Autor nie definiuje pojęcia interpretacji. Jak się zdaje – odnosi je do wszelkich poznawczych rezultatów odczytywania wytworów znakowych. Tymczasem celowe wydaje się przede wszystkim odróżnienie interpretacji semantycznej od innych jej rodzajów, np. od interpretacji strukturalnej, taksonomicznej, ekspresyjnej, genetycznej. Wszystkie one – zauważmy – są wtórne wobec uprzednio uzyskanej wiedzy o zawartości semantycznej tekstu.

Ale nie całość tej wiedzy określiłbym jako interpretację. Nazwę tę rezerwowałbym tylko dla rezultatów eksplikacji tego, co trudno zrozumiałe, niepewne, wieloznaczeniowe, dla tematykacji tego, co pozostawiono domyślności odbiorcy, wreszcie – dla uogólnień (tendencji, przestania, idei) implikowanych lub sugerowanych zawartością tekstu. Nie włączałbym natomiast do interpretacji ani informacji o intersubiektywnie konstatawanych znakowych właściwościach tekstu (np. że *Pan Tadeusz* dzieli się na dwanaście ksiąg i napisany jest wierszem rymowanym), ani sprawozdania ze stanu rzeczy, o których literalne znaczenia tekstu powiadają w sposób nie nasuwający wątpliwości przeciętnemu kompetentnemu językowi i kulturowo czytelnikowi (np. nie tylko tego, że pan Tadeusz jest bratankiem sędziego Soplicy, ale także, że spędza noc z Telimeną) – dopóki takie wątpliwości nie zostaną wysunięte. Wówczas dopiero mogą wyłonić się problemy interpretacyjne. Takich sytuacji nigdy nie można

wykluczyć, ale w praktyce wątpliwości owe pojawiają się rzadko, a jeśli się pojawiają – nie zyskują rozpowszechnienia.

Zdanie: „Ala ma kota”, rozumiane bywa powszechnie w ten sposób, że jakaś dziewczynka o tym imieniu ma na własność jakiś egzemplarz gatunku *Felis domestica*, przy czym dane te nie są konstatacją faktu, lecz kreują fikcyjny stan rzeczy, który z kolei nie ma wartości autoteliicznej, lecz tylko służy zaznajomieniu dziecka z określonymi literami alfabetu; z tego zdają sobie sprawę chyba także i korzystające z elementarza dzieci.

Ktoś jednak może sobie uroić, iż zdanie to oznacza, że „Ala zwariowała”, albo że jest aluzją do *Alicji w krainie czarów* i kota z Cheshire¹, albo wreszcie, że jest przepowiednią ekstrawagancji nieboszczki Alicji Sternowej, upodobania profesor Alicji Helman do kotów, czy też nawet flirtu jakiejś Alicji z Janem Kottem. Na gruncie reguł falsyfikacyjnych, o których pisałem w „Pamiętniku Literackim”, należy mniemania te jako interpretacje odrzucić. Nie ma natomiast podstaw, by kwestionować je jako mniej lub bardziej udatne użycia (wg rozróżnienia Umberto Eco) wzmiankowanego zdania dla gry intertekstualnej czy towarzyskiego żartu.

2. Jak wszystkie ustalenia (a zwłaszcza ustalenia normatywne) można owe reguły nazwać konwencjami, *sub specie aeternitatis* – prowizorycznymi, partykularnymi, lokalnymi, przygodnymi. Ale są one uznawane (co nie znaczy, że zawsze w praktyce przestrzegane) w europejskim kręgu kulturalnym przynajmniej od czasów nowożytnych. Polemika z przeświadczeniem o ponadczasowej, uniwersalnej ważności jakichś reguł interpretacyjnych – pozytywnych czy negatywnych – a tym bardziej ich zastosowań, to chyba walka z wiatrakami w tym sensie, że takich pretensji nikt nie zgłasza. Wbrew temu co sugeruje Andrzej Szahaj, nikt nie chce „unosić się nad ziemią” i ustanawiać niebiańskich Reguł (przez duże R), a także niebiańskich Interpretacji (przez duże I). Pozostawmy je Aniołom – jakby powiedzieli Heine i zapewne Borges².

¹ Już po napisaniu tych uwag stwierdziłem, że uśmiech kota z Cheshire pojawił się istotnie w wierszu Miry Kuś, pt. *Ala ma kota* („Kultura” 1996 nr 7/8).

² Zob.: R. Scholes *Tłón a prawda: refleksje o teorii literatury i filozofii*, w: *Estetyka w świecie*, pod red. M. Gołaszewskiej, t. 5, Kraków 1997, s. 161.

3. Andrzej Szahaj ma rację twierdząc, że historyczne konteksty interpretowanego tekstu także nie są nam dane bezpośrednio, lecz poprzez ich interpretacje, które mogą być przy tym z sobą niezgodne. Ale zwróćmy uwagę, że korpus tekstów branych wtedy pod uwagę jest czasoprzestrzennie ograniczony, podlega również historycznej tylko interpretacji (tzn. tylko one siebie wzajemnie oświetlają), różni się więc zasadniczo od korpusu tekstów uruchomionych w interpretacjach adaptacyjnych. Konfrontacja z wytworami innych kręgów kulturowych, czy też późniejszych epok w rozwoju tej samej kultury, nie wchodzi tu w rachubę. Trudno więc zrozumieć, dlaczego autor kwestionuje różnicę między interpretacją historyczną a adaptacyjną. *Pro domo sua* dodam, że skoro falsyfikacja pewnych interpretacji odbywa się przez odwołanie do tekstów, przedrozumień i konwencji historycznie ograniczonych, więc tym samym i ona jest oczywiście „lokalna i przygodna”. Ale nie jest to lokalność dowolna i przygodność przypadkowa, lecz adekwatna historycznie w stosunku do interpretowanego tekstu.

4. W artykule mówi się wiele o „wspólnotach interpretacyjnych”. Stanley Fish, od którego pojęcie zostało zaczerpnięte, powiada, że „decydują one (*are responsible*) o kształcie czynności czytelnika i o tekstach przez te czynności wytwarzanych”³. Przytaczając to sformułowanie Elizabeth Freund komentuje, że przez wspólnoty interpretacyjne Fish rozumie nie jakieś zbiorowości ludzkie, lecz „wiązkę strategii czy norm interpretacyjnych, które wspólnie żywimy i które regulują sposób naszego myślenia i postrzegania”⁴. Zazwyczaj za owe wspólnoty uważa się jednak właśnie pewne zbiorowości odbiorców tekstów – i tak traktuje je Szahaj. (Okazuje się więc, że także termin „wspólnota interpretacyjna” wymaga interpretacji...). Z wywodów autora wynika, że wspólnoty interpretacyjne można zidentyfikować ze wspólnotami „społecznymi” czy „kulturowymi”, które „kierują się wspólnym zakresem przesądzeń kulturowych oraz przekonań światopoglądowych, etycznych i politycznych”. Są to niestety określenia bardzo ogólnikowe. Z braku przykładów trudno dociec, jak wyobraża sobie autor taksonomię takich wspólnot w granicach określonego czaso-

³ S. Fish *Is There a Text in this Class? The Authority of Interpretive Communities*, Cambridge, Mass, 1980, s. 322.

⁴ E. Freund *The Return of the Reader*, London – New York 1987, s. 107.

przestrzenie społeczeństwa. W jakiejś mierze przecież wszyscy jego członkowie posiadają podobne przesądzenia i przekonania, co więcej, w jakiejś mierze dzielą je z niektórymi innymi czasoprzestrzennie wspólnotami interpretacyjnymi. Ale z drugiej strony, w jakiejś mierze każdy członek danej wspólnoty (lub niewielka grupa) ma własne, pod pewnymi względami odmienne przesądzenia i przekonania. Co sądzić np. o zbiorowości polskich badaczy literatury okresu międzywojennego? Wydaje się, że zwolenników tradycyjnego, historyczno-filologicznego literaturoznawstwa można by traktować jako wspólnotę interpretacyjną. A jednak np. Sinko, Kucharski czy Pigoń mocno się spierali o interpretację *Wesela*. Wynikałoby stąd, że wspólnota interpretacyjna – w sensie uznawania wspólnych założeń interpretacyjnych – bynajmniej nie przesądza o wspólnocie rezultatów interpretacyjnych.

5. Zdaniem autora, określona interpretacja ma szansę sukcesu, (lokalnej) prawomocności, jeśli odnajdziemy taką istniejącą lub potencjalną wspólnotę interpretacyjną, dla której interpretacja ta „może okazać się przekonująca”. Ale wartość predyktywna, wynikająca z wyszukania odpowiedniej realnej wspólnoty interpretacyjnej, jest niska, skoro – jak widzieliśmy – w obrębie tych samych założeń interpretacyjnych pojawiają się sprzeczne rezultaty interpretacyjne. A jeśli chodzi o wspólnotę potencjalną – to zawsze można ją tak wykonstruować, by dana interpretacja mogła się w niej bezkolizyjnie zmieścić.

6. W pewnym miejscu swego artykułu Andrzej Szahaj pisze: „interpretacja [...] przekonująca (ciekawa, wygodna, podniecająca, znacząca, czy wreszcie nawet i prawdziwa w sensie konsensualnym)...”. Gdzie indziej wymienia interpretację „użyteczną” i „przekonującą”. Przekonać to znaczy skłonić tymi czy innymi sposobami do uznania słuszności jakiejś konstatacji, oceny czy normy. Nie każda interpretacja ciekawa, wygodna, podniecająca – jest zarazem przekonująca. Interpretacja bajeczki *Chory kotek*, dokonana przez Leszka Kołakowskiego (*nb.* wzięta na serio przez czytelnika tak wytrawnego jak Aleksander Wat!⁵) jest na pewno ciekawa, ciekawsza od mo-

⁵ Zob.: A. Wat *Dziennik bez samogłosek*, oprac. K. Rutkowski, [Kraków] 1987, s. 115-116.

rału sformułowanego w jej zakończeniu przez samego Jachowicza, co nie znaczy, że jest to interpretacja przekonująca. Przed wojną ukazał się artykuł dowodzący, że Mąż 44 to marszałek Piłsudski, bo 1867 (data jego urodzenia) minus 1823 (data akcji *III Części Dziadów*) = 44⁶. Dla wielu piłsudczyków interpretacja ta mogła być sympatyczna czy użyteczna, inni czytelnicy uznali ją za zabawne (a więc jakoś podniecające) kuriozum, ale można przypuszczać, że ani jedni, ani drudzy na serio jej nie zaaprobowali.

W artykule Szahaja wszystkie wymienione poprzednio walory interpretacji umieszczone są na jednej płaszczyźnie. Piszącemu te słowa trudno wyrzec się przeświadczenia, że naukowo zorientowana, a więc stawiająca sobie zadania poznawcze, interpretacja, winna zmierzać do tego, by być przekonującą, a więc uzyskać walor trafności, prawdziwości w sensie konsensualnym – jak przyzwala Szahaj – czy przynajmniej prawdopodobieństwa. Jeśli nadto jest ciekawa czy podniecająca – tym lepiej, ale nie są to jej zobowiązania prymarne. Co więcej – wyznam, że interpretacja, która nie przekonuje, może mnie zaciekawić co najwyżej jako zabawa albo jako symptom (a więc w relacji do wypowiadającego ją podmiotu, nie zaś w relacji do interpretowanego tekstu). Zapewne, interpretacja należy do szeroko rozumianego królestwa retoryki. Ale retoryka to nie tylko fortele erystyczne czy sposoby wzruszania odbiorcy pomysłowością stylistyczną. Posługiwać się winna także (chciałoby się powiedzieć – przede wszystkim) logicznie poprawną i stosowną argumentacją (stosowną – nie w sensie ponadczasowym, lecz wyznaczonym przez obowiązujące reguły interpretacyjne – dodaję, by uniknąć nieporozumienia). I ta jej cecha jest przede wszystkim miarą poczucia odpowiedzialności interpretatora.

⁶ M. Rappaport *Proroctwo A. Mickiewicza*, „Kurier Wileński” 1931 nr 115.